GRAŻYNA BĄKIEWICZ

KORNISZONEK

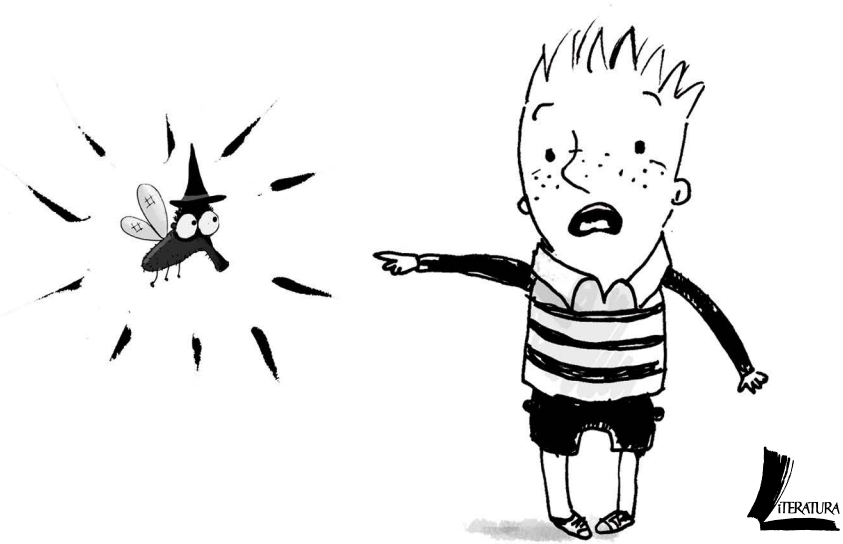

LITERATURA

Grażyna Bąkiewicz
Korniszonek

© by Grażyna Bąkiewicz
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i wyklejka:
Katarzyna Kołodziej

Ilustracje:
Klara Wicenty z pomocą Poli

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie III

ISBN 978-83-7672-278-8

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2016
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

Przez całe lata żyłem w nieświadomości, że nazywam się Ogórski. Jacek, owszem! Jacuś, Jacunio, Niunio, Niuniuś, Dziubdziuś, Lalunia Mamuni i inne takie imiona, które trudno nawet spamiętać. Ale Ogórski? Nigdy w życiu nikt tak do mnie nie mówił. Tak się nazywa mój tata, ale ja???

– Czy jest pan Ogórski? – Gdy słyszałem takie pytanie, zawsze wiedziałem, o kogo chodzi. Oczywiście o mojego tatę. Panie Ogórski to, panie Ogórski tamto… Tak mówili wszyscy i dziwiłem się nawet, że mama traktowała tatę z taką poufałością i mówiła do niego Jarek, jakby był jakimś zwykłym człowiekiem. Miałem nawet mamie to za złe, dopóki nie poznałem przyczyny owego spoufalenia. Okazało się bowiem, że i mama nosi ów zaszczytny tytuł – pani Ogórska!

Przez pewien czas zwracałem się do obojga po nazwisku.

– Pani Ogórska, chce mi się jeść!

– Panie Ogórski, chodźmy na spacer!

Wszystkich niezmiernie to śmieszyło. Nie rozumiem dlaczego?

Mama Ogórska, tata Ogórski, nawet mój starszy brat Wojtek był Ogórski, ale niech tam, ma już przecież wąsy. Ale ja?

Dowiedziałem się o tym dopiero w szkole.

Gdy byłem mały, to znaczy o dwa centymetry mniejszy niż teraz, i wszyscy zachwycali się moją urodą i mądrością, wierzyłem, że uda mi się uniknąć chodzenia tam i z powrotem do szkoły. Wystarczy, że znają tam Wojtka, mojego starszego brata. Po co zawracać głowę nauczycielom drugi raz, skoro ja i tak wolę grać w piłkę i oglądać filmy o czarodziejach. Z Wojtka wszyscy są dumni, bo zdał egzaminy do poważniejszej szkoły, która nazywa się technikum, czy coś takiego. Uczy się tam różnych tajnych wzorów i innych fajnych rzeczy i na pewno zostanie mądrym człowiekiem, może nawet kosmonautą. Mówiłem o tym chłopakom i bardzo mi zazdrościli, że po znajomości dostanę się kiedyś na rakietę.

Tata jest z Wojtka bardzo dumny. Nie ma dnia, żeby nie poklepał go po ramieniu i nie powiedział:

– Liczę na ciebie, synu!

Pewnie też myśli o darmowym miejscu w rakiecie.

Do mnie nigdy tak nie mówi, bo pewnie z góry wie, że nie ma na co liczyć. Ale czy wszyscy muszą być zaraz kosmonautami? Mnie bardziej podoba się gapienie w niebo, gdy akurat jest przerwa w meczu i leżymy z chłopakami na trawie. W takich chwilach potrafię frunąć pod same chmury i dolecieć aż do końca kosmosu. Całkiem bez rakiety.

Tłumaczyłem rodzicom, jak problem szkoły wygląda z mojego punktu widzenia, i liczyłem, że zrozumieją. Niestety. Tylko Anulka mnie poparła i powiedziała, że chętnie pójdzie zamiast mnie, bo dwa lata czekania na szkołę, to dla niej zbyt długo.

– A miejsce osła jest przecież na łące – dodała.

Trochę bym się nawet obraził o tego osła, gdyby nie to, że moja młodsza siostra to jedyna osoba, która mnie naprawdę rozumie. Stałem za nią i pełen nadziei czekałem na wyrok rodziców. Kiwałem jeszcze głową, że Anulka ma zupełną rację – łąka i ja to nierozłączna para. A dziewczynie chętnie ustąpię miejsca.

Próżne nadzieje. Okazało się, że do szkoły muszą iść wszystkie dzieci, na które przychodzi kolej, nawet tacy mądrzy i ładni faceci jak ja. Gdy płakałem, mama powiedziała, że to rozkaz prezydenta i tylko do niego mogę słać protesty. A że prezydent przyjmuje tylko protesty pisemne, więc najpierw muszę nauczyć się pisać. I tak po raz pierwszy spotkałem się z problemem nie do rozwiązania.

Zrozumiałem, że moje łzy są daremne i wyrok losu muszę przyjąć po męsku.

Któregoś ranka mama powiedziała, że to jest właśnie ten dzień i zaprowadziła mnie do szkoły. Zostawiła na boisku z chłopakami, bo sama musiała biec na jakiś ważny dyżur. Znałem tych chłopaków z placu zabaw, więc wcale się nie zmartwiłem, że sobie poszła. Przynajmniej nie będzie marudzić, że brudzę to ładne ubranko, w które mnie wystroiła, jakbym był dziewczyną.

Nie zdążyliśmy się jednak pobawić, bo przyszła pani, całkiem ładna, i zaczęła odczytywać z kartki różne takie dziwne słowa, które według mnie nic nie znaczyły, ale chłopaki na dźwięk niektórych podnosili ręce i ustawiali się w szeregu. Kilka razy wołała: „Ogórski! Ogórski!”, ale taty tu przecież nie było. Chciałem wyjaśnić, że jest teraz w pracy, ale w takim hałasie i tak by pewnie nic nie usłyszała, więc zrezygnowałem. W końcu zabrała chłopaków i poszła. Mnie chyba nie chciała, bo gdyby tak było, zawołałaby: „Jacuniu, Dziubdziusiu, chodź z nami, słoneczko!”.

Zostałem przed szkołą sam jak palec. Nawet mnie to ucieszyło, bo i tak już straciłem zbyt wiele cennego czasu. Chyłkiem wymknąłem się poza ogrodzenie i tyle mnie widzieli. Miałem zaplanowanych kilka spotkań w piaskownicy, więc w szkole i tak nie byłoby ze mnie pożytku.

Niestety, niczego nie załatwiłem, bo piaskownica była pusta. Posiedziałem, poczekałem, postawiłem parę babek z piasku, pogapiłem się w niebo, żeby obliczyć, jak długo trzeba by tam lecieć, żeby dolecieć, i wyszło mi z obliczeń, że to niezbyt daleko, tylko trzeba się dobrze odbić. I byłem już bliski wynalezienia wzoru na latanie bez rakiety, gdy nagle pojawiła się ciemna chmura i zasłoniła mi widoczność.

Uniosłem głowę, żeby zobaczyć, czy to taka, z której spadnie deszcz, i wtedy z góry zleciał but. Brudny trampek. Dostałem nim między oczy, aż się zachwiałem. Gdy odzyskałem równowagę, rozejrzałem się, ale wokół było pusto.

– Jak cię złapię, to pożałujesz! – krzyknąłem nie wiadomo do kogo.

Chmura uciekła, jakby to ona była winna.

Trampek podniosłem i zabrałem ze sobą. Już ja znajdę tego, co w jednym chodzi. Wtedy zobaczy!

Wróciłem do domu. Babcia nawet się trochę zdziwiła, że tak krótko byłem w szkole, ale robiły z Anulką pierogi i nie miały dla mnie czasu. But wrzuciłem pod biurko, zabrałem piłkę i poleciałem na dwór. I dzień minąłby dobrze, gdyby nie nadmierna ciekawość mamy. Koniecznie chciała wiedzieć, jak szkoła wygląda od środka. I wtedy się wydało, że nie zdążyłem tego sprawdzić.

Na drugi dzień mama wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do samego środka. Minęliśmy tyle drzwi, że straciłem orientację. Nigdy nie zdołam się stąd sam wydostać! Na końcu korytarza czekała pani z fiołkowymi oczami i mama oddała mnie jej. Oddała swojego Niuniusia! Już po drodze przygotowałem łzy, żeby zalać się nimi w odpowiedniej chwili, ale przez uchylone drzwi zobaczyłem, że w ławkach siedzi pełno chłopaków. No, skoro i oni tu są, to i ja jakoś wytrzymam. Łzy przełknąłem. Zostaną na później. Wykorzystam je wieczorem, by wypłakać jakąś czekoladę jako rekompensatę za doznane przykrości.

Minęło wiele, wiele czasu, nim wyjaśniliśmy sobie z tą ładną panią sprawę mojego nazwiska.

– Nazywasz się Ogórski? – spytała głupio, choć wyglądała tak ładnie.

Zaprzeczyłem zdecydowanie.

– Dziubdziuś! – wyjaśniłem.

Przejrzała listę i pokręciła głową.

– Niunio! – spróbowałem inaczej.

Też nie?

– Lalunia Mamuni! – uznałem, że nie ma co owijać w bawełnę i trzeba wyjawić imię najbardziej ulubione. Może wreszcie to jej się spodoba.

Niestety. Uparła się przy Ogórskim. Ja trwałem przy Niuniu. Wreszcie machnąłem ręką. Zgodziłem się tylko dlatego, że miała takie ładne oczy. Nadal nie byłem przekonany, ale niech tam. Skoro tak bardzo chce, ustąpię. Tym bardziej, że zadzwonił dzwonek i miałem ciekawsze rzeczy do roboty niż dyskutowanie z kobietą na tematy, o których nie ma pojęcia. Pierwszy raz mnie widzi, to skąd może wiedzieć, jak się nazywam.

Chłopaki orzekły, że jestem osioł i zaczęli na mnie wołać: „Ogórek, ogórek, kiełbasa i sznurek!”. Musiałem im wybić z głowy głupoty i to zajęcie wypełniło mi pierwszy dzień nauki. Następne zresztą też, bo wszystkim spodobała się wy-

liczanka o kiełbasie i ogórku. Nawet na placu zabaw tak na mnie wołali. Już nie byłem Jackiem tylko Ogórkiem. Wcale mi się to nie podobało. Obraziłem się na wszystkich, przyszedłem do domu i wlazłem pod biurko. Nie zamierzałem stamtąd wyjść do końca świata. Trampek, który tu wczoraj wrzuciłem, zmienił kolor. A właściwie odzyskał go, bo był czyściutki, jak prosto ze sklepu. Pewnie babcia go znalazła i wyprała.

A chłopaki nadal darły się pod oknami:

– Ogórek, chodź na dwór! Ogórek, weź piłkę! Ogórek! Ogórek!

Na całą ulicę tak się wydzierali, żeby nawet psy wiedziały, jak za mną szczekać. Wreszcie Wojtek nie wytrzymał i wyjrzał przez okno. Miałem nadzieję, że da im do wiwatu albo przynajmniej obleje wodą, wrzaskunów jednych. Nadstawiłem ucha i oto co usłyszałem:

– Tu nie ma żadnego Ogórka! Jest tylko Korniszonek – mały, kwaśny ogóreczek! Chodźcie i wyciągnijcie go spod biurka, bo zostanie tu do końca świata, albo i dłużej!

Korniszonek. No, no! Chłopakom bardzo się spodobało, a mnie jeszcze bardziej. Korniszonek to w końcu też ogórek, a brzmi o wiele lepiej. I w ten sposób zostałem Korniszonkiem.

Tylko mojej pani w szkole, ze względu na jej fiołkowe oczy, pozwalam nazywać się Ogórskim, ale tylko raz dziennie, podczas sprawdzania listy obecności. Ogórski, coś takiego! W dalszym ciągu mam wrażenie, że to słowo jest ważniejsze od innych i nie należy go nadużywać.